

Zgodnie z wcześniejszą obietnicą publikujemy końcową część pamiętnika, 98-letniej osadniczki, Pani Bronisławy Sztadhaus-Kozioł. Celem wiernego oddania autentyzmu przeżyć i spostrzeżeń autorki zachowaliśmy jej oryginalną pisownię.

---

*Bronisława Sztadhaus-Kozioł*

## **MÓJ PAMIĘTNIK - Pobyt w Afryce**

W Afryce w porcie zaraz zabrali kilkanaście osób chorych na tyfus do szpitala, do Dar-Es-Salaam, także zabrano naszą sąsiadkę z Polski Zosię Szponar i powiedzieli, jak wyzdrowieją przyjadą do rodzin. Tutaj pierwszy raz mieliśmy styczność z ludźmi o czarnej skórze. Z portu jechaliśmy ciężarowymi autami, a niektórzy pociągami do obozu Tengeru. Jadąc przez dżunglę i sawannę widzieliśmy afrykańskie zwierzęta, słonie, żyrafy, zebry osiołki i strusie wszystko chodziło sobie bezpiecznie przy drogach, gdzie chodzili ludzie i auta. Lwy nie zbliżali się tak blisko kryli się dalej w dżungli, tylko ryk lwów słyhać było dniami i nocami.

Do Tengeru przyjechaliśmy 18 grudnia 1942 roku. Zamieszkaliśmy w obozie Tengeru w małych białych domkach. Wyglądały jak ule, były one specjalnie zbudowane dla nas. My nie byliśmy tutaj pierwsi byli już ludzie którzy opuścili ZSSR w marcu w 1942 roku, a my w sierpniu. Nasze domki afrykańskie były okrągłe, słupy drewniane, ściany ulepione z gliny. Dachy związane z kilkunastu tyczek w cieńszym końcu, grubsze końce rozstawione były na okrągłych ścianach, a na to narzucone liście z bananów, lub z jakiejś trawy, były to dachy czubate, a powały nie było. Drzwi i okna bez szyby tylko okiennice z desek. W środku był stół, 3 stołeczki i 3 łóżka, nad łózkami wisiały siatki, które na noc podkładało się pod materac zabezpieczając się przed komarami i innymi owadami.

Prowiant dostawaliśmy i każdy sobie gotował przy swoim domku i tak było przez 2 lata. Po dwóch latach wybudowali nam kuchnię do gotowania i piec do pieczenia, piecem ucieszyliśmy się bardzo i zaczęło się nasze wypiekanie. Do takiej kuchni należało 10 domków i każda sobie gotowała co miała i umiała.

Każda matka otrzymywała 10 szilingi na miesiąc, tak że można było coś dokupić. Na początku tutaj nic nie było oprócz mąki kukurydzianej, ale handlarze hinduscy widząc, że mają kupców postarali się nam o pszenną mąkę i inne artykuły spożywcze. Kartofli nie jedliśmy przez 6 lat, ale mieliśmy słodkie kartofle. Sklepy hinduskie były około dwa kilometry od obozu, a więc jeśli komuś brakowało czegoś z żywności to mógł zawsze dokupić.

Jak przyjechaliśmy do Tengeru to był już tutaj polski ks. Jan Śliwowski z Ameryki, a później przyjechał ks. Rogiński, ten sam ksiądz co osładzał nam życie na barkach - wracając z Turkistanu o którym już wspomniałam poprzednio, a także był tutaj ks. Królikowski.

Ołtarz był pod drzewem, gdzie odprawiały się Msze Święte. Pierwsze moje Boże Narodzenie w Afryce było: - stojąc pod drzewem przy ołtarzu dziękując Panu Bogu za łaski i myślałam o rodzinnym Kraju i rodzinie co tam została! W Polsce o tej porze roku padał śnieg i było zimno, a tu nas pot oblewał z gorąca i byliśmy w otoczeniu pięknych kwiatów i drzew! W krótkim czasie wybudowali nam pro-

stokątny kościółek na słupach z daszkiem, a więc chroniło nas od słońca, a wiaterek przewiewał to nie było tak gorąco. Powstawały różne szkoły i gimnazja i dzieci zaczęły uczęszczać do szkół. Tu było gorąco i nosiliśmy korkowe hełmy, ale muszę zaznaczyć, że i często powiewał miły wiaterek.

Teraz chcę napisać trochę o Afryce Wsch. o Tengeru co tu było dla mnie nowego i ciekawego! Tu przez cały rok było gorąco i były 2 sezony deszczowe, jeden w marcu co trwał tydzień i po deszczu ochładzało się, a więc można było oddychać świeżym powietrzem przez jakiś czas. W listopadzie była druga pora deszczowa, ta trwała około dwa tygodnie. Fale deszczowe przechodziły 2 lub 3 razy dziennie. Po tych deszczach ziemia parowała przez 15 min. W listopadzie po deszczu nie ochładzało się tak, jak w marcu.

Powiedziano nam w Tengeru, że musimy wystrzegać się węzów, skorpionów i palanty. Każdego wieczora przed spaniem rozbierałam łóżko patrząc czy nie ma tam jakiegoś robactwa pod poduszką i materacem, nawet zaglądałam pod łóżko. Jak weszło się na łóżko trzeba było dobrze siatkę podłożyć pod materac, bo i przed komarami musieliśmy się zabezpieczyć, ja osobiście i tak miałam kilka przygód w moim domku ale kończyły się szczęśliwie.

Domek mój był pod dużym drzewem i pewnego wieczoru spadł wąż z drzewa na mój kurnik, to było właściwie kawałek blachy przystawionej do mego domku. Miałam wówczas 4 kury, które narobiły przeraźliwego krzyku. Wybiegły sąsiadki z domków, pierwsza była Stasia Puławska mojej najbliższej sąsiadki córka, była ona bardzo fajna i odważna - przybiegła z kijem w rękę. Uchyliłyśmy blachę od ściany, kury wyskoczyły, a wąż nie zdążył uciec i Stasia zabiła, był czarny i dosyć duży.

Druga przygoda moja, pewnego dnia - wstając od stołu i zrobiłam jeden krok, a tu przede mną spadł skorpion z dachu - szczęście, że nie na głowę. Nie wiedziałam gdzie skorpiony siedzą, aż tu spadł w domku, jak się okazało on miał gniazdo w bananowym dachu.

Trzecia przygoda, robiąc większy porządek w domku, chciałam trochę poomiatć ściany, a tu widzę coś czarnego siedzi za słupem. Nie wszystkie słupy były zalapione w ścianie, niektóre odstawały od ściany. Była to palanta ja przestraszyłam się bardzo, kazałam swojej współlokatorce pilnować ją, a sama poszłam do kuchni po gorącą wodę, ażeby chlusnąć za słup, bo bałam się inaczej ją ruszyć. Wówczas przy kuchni była jedna kobieta, która gotowała rosół ona wlała mnie do rondelka trochę rosółu i połamam za słup, a ona zaczęła się usuwać na ziemię i wylałam na nią resztę rosółu.

Stasia również przyszła jak dowiedziała się, że w moim domku coś nie w porządku. Wzięła miotłę, zgarnęła palantę na szufelkę i wyniosła na podwórze, jeszcze była żywa, ale poparzona. Podeszło kilka kobiet aby zobaczyć, jak palanta wygląda. Był to duży pająk wielkości małego kurzego jajka. Jak Stasia uderzyła ją silnie miotłą to zaczęły rozlatywać się małe pajączki. Ona musiała uwijać się szybko bo niektóre odskakiwały dalej, a my deptaliśmy je butami. Wyglądało tak, że palanta szykowała się na poród w moim domku.

Ugryzienie przez palantę jest śmiertelne, tak jak i przez muchę tse-tse, po skorpionie jest wielki ból ale nie jest groźne. W mojej grupie jedna dziewczynka wkładała rano buciki i nie spojrzała do środka, a tam był skorpion i ugryzł ją. Krzyczała okropnie przez całą drogę do szpitala, po zastrzyku ból ustąpił. Skorpiony i palanty spadały do naszych domków, bo nie było powały.

Ostatni w moim domku gościł szczur i to jakiś chory bo koniecznie chciał być przytulony do mnie, ażeby mu było ciepło. Nawet i siatka w tym wypadku nie pomogła, która była podłożona pod materac. W nocy obudziłam się i przeraźliwie krzyknęłam, wstałam, rozebrałam całe łóżko sprawdziłam wszędzie, ale nic nie było. Z powrotem ułożyłam pościel i pod materac podłożyłam siatkę i tak siedziałam pod siatką - myśląc co to mogło być? Wiem, że nie sen. Położyłam się, dłuższy czas leżałam, wreszcie usnęłam i to samo powtórzyło się znowu przytulił się do mnie. Powtórnie rozrzuciłam pościel, córka obudziła się pytając co ja robię, mówię jej, że mrówki są na moim łóżku, bo były też częstymi gośćmi. Heła zaraz zasnęła, a ja przesiadziałam do rana. Jak ona poszła do szkoły powiedziałam do p. Żukowskiej jaką miałam noc i że dzisiaj będziemy szukać szczura, chociaż wtedy nie byłam bardzo pewna, że to był szczur, ale przepuszczałam.

Ja nie miałam żadnego bagażu, a więc mówię do niej, że musimy szukać w jej rzeczach i we wszystkich pudełkach. Ona miała bardzo dużo bagażu, pod łóżkiem i za łóżkiem.

W okrągłym domku łóżka nie stały przy samej ścianie, a więc cały ten kąt był zapakowany. Nie z wielką chęcią zabierała się do szukania, a mówiąc jeszcze do mnie, że może mnie się śniło? Wyciągnęliśmy wszystko: jedno tekturowe pudełko, później drugie, aż tu nagle wyskakuje afrykański szczur, był dość duży, znacznie większy jak widziałam w Polsce. Goniłyśmy za nim, żeby złapać, a Stasia znowóż przybiegła nam na pomoc. Trzy łóżka było w domku to miał gdzie się chować, na dwór nie mógł wyjść, bo próg był za wysoki. Za chwilę przyszło kilka innych sąsiadek, jedna z nich wpadła na dobry pomysł, ażeby trzymać worek przy ścianie to on tam wleci, ale skąd wziąć worka? Wreszcie ktoś przyniósł. Trzymałyśmy otwarty i jak zaczęłyśmy za nim gonić to wleciał i Stasia zaniósła do dżungli i zabiła.

Teraz wspomnę o p. Żukowskiej, która miała dużo bagażu. Jak ją Bolszewicy wywozili z mężem i synem w czerwcu 1941 r. z Augustynowa Białego Stoku i tylko dowieźli ich do Mińska, to Niemcy zaczęli już ich bombardować, wojsko sowieckie kryło się pod ich wagonami i mówili pomiędzy sobą, że to Amerykanie, a gdy samoloty zniżyły się całkiem nisko zdziwieni - krzyczeli że to Niemcy. Żukowscy siedzieli w zamkniętych wagonach i wszystko słyszeli co mówili - myśleli nawet, że otworzą im wagony i wypuszczą ich, ale niestety gdy bombardowanie ustało wieźli ich dalej w głąb Rosji do kołchozu, w którym od razu zaczęli pracować bo były żniwa. Otrzymywali żywność i było im tam nienajgorzej toteż dużo rzeczy mieli ze sobą i wracając do Polski z powrotem zabrała wszystko. Syn jej był w wojsku, tak jak i mój mąż, a mąż jej zmarł w Tengeru na serce. Po śmierci męża nie chciała mieszkać sama w domku i prosiła mnie, ażeby ją przyjąć i tak była

z nami do końca.

Takie to przygody miałam w swoim domku podczas tych 6 lat w Afryce. Mrówki lub termity jak pokazały się to mieliśmy na to płyn do kropienia i tak się ich pozbywało.

Afrykańskie choroby: malaria, żółta febra, wrzody tropikalne. Jedna malaria była, że trzęsło, robiło się gorąco i dostawało się wysoką gorączkę. Drugą nazywano skrytą, był silny ból głowy i dostawało się anemię, ta była gorsza bo czasami kończyło się śmiercią. Szpital był zawsze zapełniony, gdyż ludzie bardzo tutaj chorowali na malarię, lekarze leczyli chininą, a także atobryną. Córka i ja często chorowałyśmy na malarię co trzęsła, a ja będąc nawet już w Anglii jeszcze dostałam atak malarii.

W naszym obozie także zmarło kilka osób na żółtą febrę. Ludzie dostawali wrzody tropikalne, po prostu wygniwały dziury w ciele. Lekarze wypalali sinym kamieniem i to było bardzo bolesne. Na początku nasi lekarze nie umieli leczyć tropikalnych wrzodów! Moja córka miała wrzód na nodze, lekarz wypalał sinym kamieniem, dziura robiła się coraz większa, a córka czuła się coraz gorzej. Wzięłam ją do Arushi do tamtejszego lekarza i po kilku wizytach wyleczono, a tylko została mała blizna. Jedna dziewczynka także w tym samym czasie jeździła do lekarza do Arushi bo miała duży wrzód na policzku i również ją prędko wyleczył.

Mieliśmy problem z pchełkami nie w domkach tylko na dworze w ziemi, były w ogóle niewidzialne. One wchodziły tylko pod paznokcie, chociaż nikt boso nie chodził, ale i tak umieszczały się. Jak samica weszła od razu zносиła jajka pod paznokciem i zaczynał palec bardzo swędzić, jak samiec wszedł to piekło jak ogniem, a więc musiało się zaraz wyciągać.

Z początku chodziliśmy z tym do lekarza, a później do zakonnicy, było ich kilka, one były specjalistkami do tego. Jak na drugi dzień wyciągnęło się samice, to przy niej był już woreczek z jajkami, a jak kilka dni później, to w tym woreczku były żywe pchełki. Matka trzymała się woreczka tak, że razem wyciągało się, a jak wyciągnęło się samca, to od razu przestało piec. Połowa murzynów w Afryce nie miała paznokci na nogach bo potracili przez te pchełki.

Były tu także robaczki, które muchy zostawiały na bieliźnie, one nie były widoczne, a dopiero wtedy, jak weszły w ciało, ale z tym nie było wielkiej trudności. Po praniu i po suszeniu bielizny musiało się dobrze gorącym żelazkiem prasować, o ile ktoś zlekceważył i coś ubrał, lub wytarł się ręcznikiem, to po kilku godzinach miał czerwone plamki po ciele. Po ciepłej kąpiel, lub prysznicu każdą plamkę musiało się mocno paznokciem przesunąć, w ten sposób robaczka rozgniotło się. Każda kobieta pilnowała prasowania, a jak tylko zlekceważyła to przekonała się na swojej skórze, tak jak ja. Miałam mały ręczniczek, po umyciu nóg wytarłam i powiesiłam na chwilę aby wysechł. Na drugi raz użyłam go znowu, ale bez prasowania i zaraz moje całe nogi były w plamkach, była to nauczka dla mnie na cały czas.

Z robaczkiem miałam nawet śmieszna przygodę. Uszy miałam przekłute, będąc jeszcze dzieckiem. W Rosji sprzedawałam kolczyki, a tutaj w Afryce taki robaczek trafił do tej dziurki. Z początku ucho swędziało, a później zaczęło boleć i puchnąć,

byłam pewna, że to przejdzie. Wreszcie pokazałam koleżance, ona powiedziała, że mam naryw i tam jest już materia, a więc poszłam do lekarza. Lekarz obejrzał ucho i wyciągnął nie robaka ale pędraka był taki gruby, jak położył na stole zaraz przy mnie, to jeszcze się ruszał, a mną wstrząsnęło patrząc na niego. Lekarz zaśmiał się mówiąc, że teraz mną wstrząsa, ale jak był w uchu to nosiłam go jako kolczyk.

Każdy domek był zaopatrzony w żelazko na węgiel do prasowania i niszczenia robaczków, jak i również w płyn do spryskiwania w domku i na podwórzu jak tylko było potrzeba.

Wężów boa widziałam dużo, ale nieżywych. Było tu kilku lekarzy polskich i jeden angielski którzy lubili polować na węże. Po zabiciu przywozili do obozu na pokaz, więc oglądaliśmy. Była także w obozie garbarnia i specjalista garbarz, który wyprawiał skórki, robił torebki i pantofle, nawet Hela kupiła sobie taki komplet. Jednego węża zabili który miał 100 lat, jego skóra nie nadawała się do wyrobu - wyglądała jak na starym dębie kora!

W Tengeru był jeden wypadek, który zakończył się śmiercią psa. Nasi chłopcy od 10 lat wżwyż lubili nosić noże w pochwie przy pasku tak jak Murzyni. W Niedzielę Wielkanocną wybrało się ich kilku na spacer do jeziora Duluti. Z dwóch stron jeziora była dżungla, po trzeciej stronie była ładna willa, w niej mieszkała angielska rodzina. Od strony obozu nie było dużo krzaków i była dobrze wydeptana ścieżka. My kobiety również chodziłyśmy tam na spacer, widok był ładny rosły rozmaite drzewa, był tutaj jeden kaktus tak wysoki jak w Polsce topola! Jeden z chłopców miał psa i on co chwila biegł naprzód i wracał z powrotem tą samą ścieżką, ale teraz jak odbiegł przeraźliwie zajęczał, a jak chłopcy dobiegli, wąż boa był tak na nim okręcony że pies wyglądał jak rurka. Oni zaczęli wbijać noże, wreszcie wąż zaczął się rozprostowywać i posunął się do wody i poszedł na dno, tylko woda zaczerwieniła się nad nim. Chłopcy wracali z powrotem z wielkim żalem za psem, a jak opowiadali o tym wypadku swoim matkom były zaskoczone, że oni nie myśleli o niebezpieczeństwie dla siebie!

Co do Murzynów: Murzynom nie wolno było wchodzić do naszego obozu, ale czasami przychodzili większe chłopcy i przynosili owoce, a przeważnie banany sprzedając za pieniądze, albo prosząc o chleb. Będąc w obozie rozglądali się na wszystkie strony za „askari” - policjantem, a jak tylko zobaczyli to zaraz uciekali. Na początku dżungla nas przestraszała i nocne nawoływania i krzyki Murzynów, a także głosy zwierząt, ale z czasem przyzwyczailiśmy się do tego wszystkiego i całego otoczenia. Murzyni żyli bardzo biednie i dziko, domów nie mieli tylko szałas - wyglądały jak budy. Tak samo jak i na naszych domkach było kilka tyczek związanych na dachu i narzucone gałęzie lub liście bananowe. Tak spali jak chodzili, pościeli nie mieli żadnej. Widać było, że rodziny trzymały się blisko siebie, gdyż w jednym miejscu było 5 lub 6 takich szałasów i może ze ćwierć kilometra znowóż widziało się tyle samo, albo parę więcej. Jedna osoba gotowała dla wszystkich, tłukli kukurydzę i gotowali w dużym kotle mieszając drewnianą łopatką. Było tam kilka szczepów i religii, nawet byli i katolicy, oni odróżniali się, bo nie chodzili nago, mężczyźni chodzili w krótkich spodniach. Inne szczepy były

podpasane paskiem i kawałek skóry przyczepionej było do pasa na przodzie i z tyłu. Trzeci szczepek miał płachty mniejsze niż koce podłożone pod prawą rękę i związane na lewym ramieniu. Jak stali wyglądali okryci, ale jak szli, albo jak wiatr był to byli całkiem goli! Kobiety były owinięte od pasa do samej ziemi, piersi i ramiona były gołe. Starsze natomiast były całkiem okryte skórą. Chłopcy do 12 lat chodzili prawie nago, tak żyli Murzyni w dżungli i naokoło naszego obozu.

W miasteczku Arushi kobiety chodziły przekryte, nawet były w sukienkach. Murzyni często robili wieczorami zabawy. Palili ognisko i tańczyli dookoła ognia skacząc i wykrzykując rozmaitymi głosami, niektórzy mieli małe bębny z dzwonkami i bili do taktu. W niedzielę takie zabawy zaczynały się po południu, Jednego razu poszliśmy zobaczyć jak tańczą. Kobiet tam w ogóle nie było, tylko sami mężczyźni. Jak biliśmy im brawo to wyskakiwali jeszcze więcej popisując się swoim tańcem!

Następnym razem wybrałyśmy się do małego królestwa około 3 kilometry od obozu. Było tam dużo i rozmaitego gatunku małp, ale goryli nie było. Małpy także popisowały się zabawami, były bardzo wesołe i szczęśliwe w dżungli. Rosły tam drzewa na których zamiast gałęzi rosły pręty, wyglądały jak sznury, właśnie na nich huśtały się rozmachując i skacząc na inne drzewa. Wyglądało, że się popisowały przed nami, która najdalej skoczy i cieszyły się i śmiały, lubiały żęby na nich patrzeć. Jak odchodziłyśmy to wszystkie uspokoiły się i patrzyły za nami, jakby zasmucone. Koło naszego obozu było niedużo małp i spokojne, nie wyprawiały takich rozkosznych zabaw.

Wracając z małego królestwa, dzieci szły naprzód, a my za nimi. Jedna mała małpka skoczyła na plecy najmniejszemu dziecku i objęła go przednimi łapkami za szyję, my przestraszyłyśmy się i podbiegłyśmy na ratunek, a małpka w tym czasie skoczyła na drzewo i wyszczerzyła żęby do nas, pewnie cieszyła się z tego figla? Zbysiovi nic się nie stało, nawet nie przestraszył się, ale jego mama p. Olszewska była przestraszona!

Osiedle Tengeru było w otoczeniu różnych drzew i kwiatów. Mieściło się między miasteczkiem Moshi i Arushi, do Arushi było bliżej (około 8 km) toteż jeździliśmy tam dosyć często. Za naszym obozem były różne plantacje, kawy, papai, bananów. Góra Kilimandżaro była około osiemdziesiąt kilometrów od naszego obozu Tengeru. Była dobrze widoczna i zawsze pokryta śniegiem. Bliżej obozu, była góra Meru, naokoło dołem obrośnięta krzakami, a wyżej była czysta skała i właśnie pod tą górą były goryle. Z góry Meru co siedem lat wychodziły roje szarańczy, a więc przygotowali nas, co mamy w tym czasie robić! Afrykańczycy wiedzieli dokładnie w którym roku i miesiącu szarańcza przylatywała. Każdy z nas musiał przyszykować sobie kawałek blachy, garnka, talerza, albo coś innego co robiłoby wielki głoś, ażeby nie spadły na obóz, bo szkoda byłoby stracić naszych pięknych drzew w obozie! Przyszedł oczekiwany dzień szarańczy, było to coś co mało kto w swoim życiu widział. Szła ciemna chmura szarańczy prawie przez godzinę, a my przez cały ten czas robiliśmy hałas i w ten sposób uratowaliśmy nasze drzewa. Ja osobiście słyszałam o szarańczy, ale wyobrażałam, że są małe, a to były dwu calo-

we owady. Słabsze spadały na ziemię i te które spadły to Murzyni zaraz ich jedli, tylko odrzucali skrzydełka, jedli ich żywe, aż chrupało w zębach. Za naszym obozem nikt hałasu stukania nie robił, a więc opuszczały się nisko i w przelocie objadły wszystkie liście. Drzewa wyglądały jak uschnięte bez żadnego listka, a co dalej stało się z tą szarańczą to nie wiem.

Jak wojna w Europie w czerwcu 1945 roku skończyła się, to na tą intencję zwozili kłody i układali stos. Pod każdą warstwę kładli duże bańki z tłuszczem i benzyną, stos był wysoki. Komendant obozu był Anglik i tak chciał uczcić tą radosną nowinę. Pewnego wieczoru ten stos zapalono, wszyscy wyszliśmy z domków na plac, aby zobaczyć. Wyglądało to ładnie, jak bańki pękały w ogniu i oblewały kloce, ten huk pękających baniek był jak wystrzał z armaty. Niestety w naszych sercach, ani na twarzach wielkiej radości nie było! Komendant nadmienił, co to za ludzie, że się nie cieszą przecież to dla nas robi. Odpowiedzieliśmy z czego mamy się cieszyć, że nasz kraj, nasze rodzinne strony Alianci podarowali Stalinowi pod rządy komunistów, a my nadal musimy tułać się po obcych krajach! Wtedy może przypomniał i pomyślał, że tak, byli tacy co oddali Polskę wrogowi, pomimo, że Polscy żołnierze walczyli o wolność swego kraju i innych z innymi narodowościami. Jak np. pod Monte Cassino, gdzie mąż mój walczył i brat Staszek. Tam zginęło kilka tysięcy polskich żołnierzy, jak i również na innych frontach.

Jak druga wojna z Japonią w 1946 roku skończyła się, to znowóż była taka sama ceremonia, stos był zapalony i bańki pękały, ale nikt nie skakał z radości. Zakończenie wojny to była radość, ale rozpacz i rozterka. Bardzo przeżywałam utratę ziem wschodnich na rzecz Sowietów.

Hela i wiele innych dziewcząt po ukończeniu gimnazjum ogólnokształcącego wzięły kurs pielęgniarek. Po egzaminie pracowały w Tengeru, a potem córka z kilkoma koleżankami wyjechała do Dar Es Salaam do pracy w szpitalu. Hela bardzo polubiła swoją pracę, bo jak w 1948 roku mieliśmy zawiadomienie, że jesteśmy już na liście na wyjazd do Anglii to nie z wielką chęcią wracała do obozu.

Nastąpił wyjazd z Tengeru, jedni jechali do Anglii, a drudzy do Polski, raczej na polskie ziemie, pod jarzmo sowieckie. My jechaliśmy okrętem, a dużo jechało samolotem. Ja z córką okrętem do Anglii do męża, który po wojnie wrócił tam, jak i również inni żołnierze, bo tutaj właśnie było połączenie rodzin. Wyjechaliśmy z Tengeru ciężarówkami do portu Mombasa. Jechaliśmy przez dżunglę i znowu widząc dobrze krajobraz afrykański i ich zwierzęta, a najwięcej stoni. Podczas podróży do Mombasy, widzieliśmy baobaby i inne gatunki drzew. Nasz szofer zapytał nas czy chcemy zobaczyć drzewo, które ma 2 tysiące lat? Naturalnie wszyscy zgodzili się. Zatrzymaliśmy się w jednym miejscu i poszliśmy oglądać, był to baobab. Jeden człowiek z naszej grupy powiedział, że to jest tylko pół wieku tego drzewa i one żyją do 4 tysięcy. Mówił nam także o innych gatunkach drzew, które żyją o wiele dłużej. Drzewo które widzieliśmy nie było bardzo wysokie, tylko bardzo grube - wyglądało, że przez rok czasu dużo nie wyrastało.

Z Mombasa do portu Liverpool płynęliśmy 3 tygodnie. W tej podróży córka moja zapoznała swego przyszłego męża. Był on oficerem marynarki angielskiej.

Spędzali wesoło i przyjemnie czas w tej podróży, a także w Anglii w Bristolu, w ciągu kilku miesięcy wyszła za mąż i zamieszkali w Kanadzie w Harnilton, Ontario.

Płynęliśmy przez Ocean Indyjski do Aden i tam zatrzymaliśmy się, ludzie kupowali sobie coś na pamiątkę i dalej płynęliśmy przez Kanał Suez do Port Said, tu również staliśmy kilka godzin. Egipcjanie, młodzi chłopcy podpływali łódkami do naszego okrętu ze swoimi towarami i kto miał pieniądze kupował dywaniki, makaty i torebki. Oceanem Indyjskim płynęło się spokojnie do Aden, a jak wypłynęliśmy na Morze Czerwone wtedy poznałam co jest „burza na morzu” i morska choroba. Po 21 dniach podróży okrętem, dobiliśmy do Anglii, portu Liverpool, a stamtąd pociągiem do Cirencester. Tu spotkaliśmy swoich mężów, braci i synów, tych którzy szczęśliwie powrócili z wojny. W Anglii było radosne spotkanie się rodzin po kilku latach rozłąki. Później byliśmy w okolicach Herefford w obozie Foxley, a także w Bristolu.

Po jakimś czasie rodziny zaczęły wyjeżdżać z Anglii we wszystkie strony świata. Niektórzy wyjeżdżały do Argentyny, Australii, Kanady i oczywiście do Polski. Dużo jednak zostało w Anglii na stałe. Mąż starał się o wyjazd do Stanów Zjednoczonych bo tam miał wujka. W tym czasie niestety Ameryka nie przyjmowała nikogo z Anglii, tylko z Niemiec. Nasz wyjazd do Ameryki Półn. nastąpił dopiero w 1951 roku. II wojna światowa wypędziła nas z własnego domu i rodzinnego Kraju. Przewędrowaliśmy Europę, Azję, Afrykę i dostaliśmy się do Ameryki. Do piątej części świata Australii, nie mam zamiaru już jechać! Ja z mężem zamieszkaliśmy w Jackson Michigan. Mąż miał w kilku stanach krewnych, ja również miałam kuzynkę w Chester Pennsylvania, a więc odwiedzaliśmy się wzajemnie. Jednego razu byliśmy w Philadelphia na przyjęciu u znajomych pp. Zalewskich, których znałam w Polsce będąc jeszcze dzieckiem. W tym czasie przyszedł do nich ich kuzyn, który chciał bardzo zobaczyć się z nami. Nie witał się, tylko patrzył na mnie to na męża, a po chwili zamówił o to jest ta pani, która na Uzbekistanie wzięła mnie pod pierzynę? Wszyscy goście oczywiście wybuchnęli śmiechem. Ja roześmiałam się również mówiąc, tak teraz możemy żartować z naszej dawnej biedy. A więc spotkaliśmy się znowóż z Zalewskim po raz drugi, ale w miłej i szczęśliwej sytuacji!

Te dziewięć lat tułaczki przepisywało się losu wojny. A teraz na nowo trzeba było zaczynać układać normalne życie na obczyźnie. Było nam przykro i ciężko na sercu, że się nie mogło wrócić do przedwojennej wolnej Polski. Musieliśmy przyzwyczajać się do innego kraju i do wszystkiego obcego.

W 1963 roku po 23 latach. Ja z mężem wybraliśmy się starym Batorym do Polski. Nasze spotkanie z rodziną po tylu latach było bardzo wzruszające. Opowiadaliśmy wzajemnie ze łzami w oczach o swoich przeżyciach. Nasze były ciężkie i rozpaczliwe, ale jak usłyszeliśmy ich przeżycia i to, że na Wołyniu w mojej rodzinie bliższej i dalszej zginęło 16 osób pod nożami ukraińskiej bandy to ich przeżycia były tragiczne i przestraszające.